# ROZMAITOŚCI.

Dnia 11 grudnia, N$^{\text{er}}$ 50. roku 1847.


## GRYZETA.

Francyja nie była jeszcze z okropnych scen rewolucyi zupełnie uspokojoną; ulice okazywały jeszcze gdzieniegdzie ślady krwawych wypadków, które niegdyś na bruku się odgrywały; dzikie głosy wznosiły jeszcze wykrzyki wolności, a wszystkie twarze miały ten właściwy wyraz trwożliwego powątpiéwania, którego po takowych burzach nie łatwo pozbyć się można.

Byłoto w nocy. Wiele ulic pokryła ciemność grobowa. Tylko tuowdzie wiszące samotnie lampy oświetlały ponuro małą pomiędzy jednym a drugim domem przestrzeń.

W jednéj z najciaśniejszych ulic stolicy francuzkiéj, żyła młoda gryzeta imieniem Paulina. Nie miała ona ani rodziców, ani krewnych i prawie żadnego przyjaciela w Paryżu. Przecież wpośród tak srogich zamieszek lat ostatnich, poszczęściło się jéj uniknąć wszelkiego niebezpieczeństwa, chociaż nie wszelkiéj trwogi.

Paulina była jeszcze młodą, lecz od niedawna obeznaną już z miłością, a nowość tego uczucia sprawiała ulgę jéj sercu i czyniła je radosném. Siedząc w swoim małym pokoiku, nachylona nad robotą, nuciła wesołą piosnkę, a płomienie gorejących na kominku polanek, wznosząc się i niknąc na przemiany, oświécały pokoik przyjemnym blaskiem, lub go uroczym powlekały półcieniem. Przy małém ognisku wrzała kawa w imbryczku, i widać było przygotowanie do wieczerzy na dwie osoby. Przybor pokoiku był bardzo skromny, i składał się z źwierciadła nad kominkiem, kilku krzesełek i stolika do pracy.

Paulina przestała śpiéwać, poprawiła sobie czépeczek przed źwierciadłem, otworzyła okno, wyjrzała, zamknęła je znowu, wsunęła niecierpliwie ręce w kieszonki u fartuszka, i trąciła nogą podnóżnik, stojący przy kominku, do którego się przybliżyła.

»Nie nadchodzi« — rzekła z półuśmiéchem, i siadła znowu do roboty. I znowuż zabrzmiał jéj śpiéw wesoły, który jednakże często przerywała, nadsłuchywując.

Wtém dały się słyszéć kroki na schodach.

Paulina zerwała się.

»Przecież-to nie on« — rzekła — »gdyż słyszę stąpanie kilku osób.«

Wybiegła za drzwi, aby spojrzéć na schody, i spieszno wróciła, mówiąc do siebie: »Ktożbyto z nim był?« Poczém zasięgnęła znowuż rady zwierciadła, poprawiła sobie bujne czarne sploty, i uporządkowała fartuszek.

Zaledwie tę krótką toaletę ukończyła, przemówił ktoś łagodnym, dobrodusznym głosem na schodach:

»Paulino, kochana przyjaciółko, przyprowadziłem z sobą znajomego; jestżeś mu rada?«

»Jakże się możesz o to pytać Wiktorze? — odpowiedziała ładniutka gryzeta, i pobiegła naprzeciw wchodzącemu przyjacielowi, aby mu podać rękę, i być przedstawioną gościowi.

Paulina i nieznajomy spojrzeli na siebie przelotnym ale badawczym wzrokiem.

Obaj młodzi przyjaciele byli przystojni. Szczególnie Wiktor ujmował serdeczną otwartością swego wejrzenia; uprzejmy uśmiéch igrał wokoło ust kształtnych. Towarzysz jego był słusznym, o delikatnych rysach mężczyzną; mały wąsik czerniał mu na wierzchnéj, wydatnie zarysowanéj wardze. Ciemne jego ogniste oczy patrzyły z niejakiém zadziwieniem na Paulinę, która całkiem swoim przyjacielem zajęta, na różne jego zapytania odpowiadała.

Paulina i Wiktor byli od roku z sobą zaręczeni, i tylko tak długo wesele odwlekali, aż póki Paulina zarobkiem swoim nie uzbiéra sobie małego zasobu na zwyczajną wyprawę, bez któréj żadna francuzka dziewczyna za mąż nie idzie. Kochali się oni dość serdecznie na pozór. Zwłaszcza u Wiktora nie mogła w téj mierze żadna wątpliwość zachodzić, ile że dawał Paulinie dowody swojego przywiązania, poświęcając dla niéj dawniejsze towarzystwa przyjaciół, jakotež nałóg spędzania większéj części chwil wolnych w kawiarni i szynkach wina, a wreszcie palenia fajki, do któréj tylko w bardzo rzadkich wypadkach wracał. Zazwyczaj bawił Wiktor po całych wieczorach u Pauliny, w zacisznym jéj pokoiku, lub też odwidzał z nią takie miejsca zabawy, do których szczupłe jego dochody wstępu mu dozwalały. Co do ładnéj Pauliny, nigdy ona stanowczo nie zadała sobie pytania: Kochamże go tak bardzo, aby dlań wszystkich życzeń się wyrzec, dla wszystkich innych być obojętną?

Była jednak z nim zaręczoną i rzeczywiście gotową oddać mu swoję rękę. Bo i któż zresztą był kiedy dla niéj tak uprzejmym jak Wiktor? Któż inny tak często ją odwidzał, aby go kochać miała? Wiktor wspiérał ją pieniądzmi, udzielał jéj wszelkiéj pomocy, gdy jako biédna, opuszczona siérota, do ogromnéj przybyła stolicy. Wdzięczność nałożyła miłe więzy jéj sercu, i zniewalała ją ku niemu równie silnie jak miłość, a może jeszcze silniéj. Prócz tego mniemała w istocie, iż go kocha, a to było dość dla niéj.

»Mój nowy gość jest wcale ładny« — pomyślała sobie, stawiając jeszcze jednę filiżankę na stole, i czyniąc w milczeniu przyrządzenia do wieczerzy, jaka tylko gryzetom i przyjaciołom ich jest właściwą.

Nalana kawa napełniła pokoik przyjemnym aromatem. Wiktor rozmawiał kolejno z Pauliną lub też przyjaciela do rozmowy z nią zachęcał. Paulina ze swojéj strony, chciała zająć sobą nieznajomego, i rozmowę z nim barwiła całym owym nieopisanym wdziękiem, jaki naiwna Francuzka pogadance swéj nadać umié.

Nieznajomy był zachwyconym. Rozmawiał chętnie z swą ładną gospodynią, lecz zdziwiał cokolwiek Paulinę właściwością swego akcentu, który Włochy, Anglię lub też południową Francyję przypominał. Na każdy wypadek nie byłato wymowa Paryżanina. To wzbudziło ciekawość Pauliny.

»Pan nie jesteś Francuzem?» — zapytała.

»*Mais oui*«— odpowiedział nieznajomy z lekkiém zarumienieniem. »Zkądże ta wątpliwość?«

»Zapewne byłeś pan w Anglii?«

»Byłem tam w celu zdejmowania pięknych widoków nadmorskich.»

»Więc pan jesteś artystą?«

»Przynajmniéj znajduję wielkie upodobanie w sztuce" — odrzekł. „Mamże pani opowiedziéć moję historyję, gdy się tak ciekawą być zdajesz? Nazywam się Alfons Denon. Urodziłem się w Prowancyi, a rodzice moi przeznaczyli mię do stanu wojskowego. Czułem jednakże wstręt od niego, mając wielki pochop do sztuk nadobnych, i dla oddania się im jako wyłącznemu zawodowi, przybyłem do Paryża. Przypadek zdarzył mi znajomość przyjaciela pani, pana Wiktora. Zapoznałem się z nim, najmując mieszkanie w tym samym domu, i oto jako sąsiad pozwoliłem sobie odwidzieć panią. Mamże pani jeszcze więcej czego udzielić?«

„Ileż pan masz lat?" spytała Paulina po krótkiéj chwili, w przeciągu któréj nieznajomy śledczém zmierzył ją okiem, i nieco pobladł.

„Ale godziż się, Paulino, wypytywać gościa tak szczegółowo?"

„Nic to nie szkodzi, Wiktorze“ — odrzekł Alfons — „mam lat dwadzieścia siedm.“

„A ja siedmnaście“ — odpowiedziała Paulina z westchnieniem.

„I cóżto pana Denon obchodzi?“ — ozwał się Wiktor ze śmiéchem.

„Nic, zapewne“ — przejęła Paulina — »Alež nié ma w tém grzechu, wymienić komuś swój wiek.“

„Juźci niéma“—rzekł z wymuszoną zalotnością młody artysta.

Teraz wszczęła się znowuž powszechna rozmowa, w któréj dotknięto wreszcie okropnych wypadków lat ostatnich. Przy tych słowach głos mówiących mimowolnie się uciszył. Pan Denon przysłuchywał pilnie, gdy Wiktor naocznie przez siebie widziane sceny rewolucyi malował. Wkońcu nadmienił Wiktor, iž niepodobna przypuszczać, aby już było po wszystkiém, gdyž lud nie jest jeszcze bynajmniéj zadowolonym.

Paulina okazywała widoczną trwogę, przypuszczając w myśli, iž Wiktor zostaje w stosunkach z jedném z tajemnych towarzystw, jakie w łonie stolicy jeszcze istniały.

„Przerażasz mię Wiktorze, mówiąc o tych rzeczach. Nie zakazanož wspominać o tém, gdy wszystko już minęło?“

„Sciany uszu nie mają.“

„Zapewne; ale częstokroć z najmniejszych drobnostek ogromne wynikają nieszczęścia, którychby nikt nie przewidział.“

„Słusznie“ — ozwał się pan Denon — »Mówmy więc o czém inném.“

Przygarniono drewka na kominku; Paulina odstawiła imbryczek i filižanki, i podała natomiast butelkę z winem, a potém dobywszy ręcznéj roboty i usiadłszy sobie przy kominku, przysłuchywała się rozmowie przyjacioł.

Žywy rumieniec okrył jéj lica, podczas gdy różne myśli po głowie się jéj przesuwały.

Nareszcie opuściła w zadumaniu robotę na kolana i patrzyła od czasu do czasu z kolei, lecz jakby przypadkowie, to na nieznajomego to na Wiktora. Widać, že porównywała ich obu w myślach.

Tak minął wieczór. Byłaž Paulina szczęśliwą?

* * *

»Paulino« — rzekł Wiktor jednego z następnych wieczorów, będąc sam na sam z przyjaciołką — »Wnet rok się skończy.«

»Tak Wiktorze.«

»A potémže?«

»Cóž potém?« zapytała, poglądając na robotę przed sobą.

»Czyž jeszcze możesz pytać Paulino?«

»A przecież pytam.«

»Ha, dręczysz mię doprawdy. Wszak potém pobierzemy się.«

»A juźci« — odrzekła Paulina z uśmiéchem.

Lecz byłto uśmiéch wymuszony. Wnet po nim nastąpiło westchnienie.

»Nie jesteś Paulino tak wesołą, jak to przódy bywało. Powiedz mi, czyž mogę co uczynić, aby cię uszczęśliwić?«

»Uszczęśliwić? Jak to myślisz Wiktorze? Jestem szczęśliwą, i bardzo; dla czegož wątpisz o tém?«

»Nie wiém. Ale wyglądałaś tak surowo w ostatnich czasach. Nie słyszałem nigdy, abyś się śmiała i śpiéwała jak przedtém; i zdaje mi się, že to od owego wieczora nastąpiło, kiedym Denona tu przyprowadził.«

Paulina pobladła, i z trwogą następnych słów słuchała.

»Czyž mi nie powiesz, Paulino, co w tém jest? Myślałem sobie, že masz žal do mnie, ponieważ dla Denona tak często twoje towarzystwo zaniedbuję; a gdy wczoraj w wieczór nie przyszedłem i przez cały czas samą cię zostawiłem, wielce mię to niepokoiło. Ztądže, Paulino, twoja niechęć? Powiedz!«

Paulina nie odpowiedziała, lecz zalała się łzami. Zdało się, jakby się wahała przez chwilę, czy ma odkryć, jaka zmiana w niéj zaszła; potém popatrzyła na Wiktora z uśmiéchem, i rzekła:

»Jestem szczęśliwą, nazbyt szczęśliwą. Bo jakžebym nią nie była? Zdałam ci się smutną, ale mylnie mię taką mniemałeś. Pójdź, mamže ci co zaśpiéwać, albo za-

palisz sobie sygaro? Ja wiém, że lubisz palić; to cię zawsze uwesela.«

Wiktor potrząsł głową i spojrzał wpółodwróconą twarzą na ponętne sygaro, które Paulina w drobnych palcach trzymała.

»Nuż, Wiktorze, czemuż nie palisz? Wszak wiész, że ja sygara lubię, skoro one tobie są przyjemne.«

Wiktor zaczął palić. Paulina rozgadała się wesoło o przeszłości i przyszłości, śmiała się, była mocno uradowana Wszakże bystrzejsze i doświadczeńsze oko mogło z łatwością odkryć, że serce jéj mało nie pękało z téj udanéj radości, że usta jéj drgały boleścią, że oczy tylko od łez stłumionych błyszczały, a głos wewnętrznem drzał wzruszeniem. Atoli ta pozorna wesołość podobała się Wiktorowi; lubił on widziéć ją taką jak teraz, a zabierając się do wyjscia, oświadczył, iż nie był nigdy jeszcze tak szczęśliwym.

»A ty, Paulino, nié jestżeś szczęśliwą?«

»Ach jestem zaiste, Wiktorze. Dla czegożbym nią być nie miała? Ale musimy się rozstać; już północ minęła. Żegnaj.«

»Ach tak; bądź zdrowa.«

»Bądź zdrów Wiktorze« — mówiła Paulina zcicha, przechylając się przez poręcze od schodów, i patrząc za nim. »Bądź zdrów Wiktorze« — powtórzyła na jego uprzejme »Dobra noc«, zasłane jéj z dołu, i położywszy już przy drzwiach rękę na klamce, wygięła się nieco, aby jakiemuś przypadkowo powstałemu szelestowi się przysłuchać. W téj postawie była Paulina istotnie piękną. Oblicze jéj zbladło cokolwiek, ale oczy niezwykłym blaskiem jaśniały.

Wiktor odszedł nareszcie. Paulina zasunęła drzwi, rzuciła się w krzesło, i rzekła we łzach: »Ach tak, kocham Wiktora.«

I czemuż więc płakała? I czemuż w boleści pogrążona, zakryła sobie twarz ręką, i szlochała i zatapiała się w gorżkich dumaniach, aż wreszcie znużona, w krześle usnęła?

Nazajutrz wieczorem przyprowadził Wiktor znowuż swojego przyjaciela, a Paulina była według zdania kochanka wesołą, żywą, uszczęśliwioną jak nigdy. Patrzył z dumą na piękną dziewczynę. Ubrała się z niezwykłą starannością. Niebieska suknia kaszmirowa, przylegająca ciasno do stanu, uwydatniała pochlebnie nadobne jéj kształty. Obróciła się do nieznajomego gościa, który chętnie jéj rozmowie się przysłuchywał, odpowiadając mnogiémi grzecznościami, jakie Francuzi, mianowicie polerowniejszych klas, zawsze podostatkiem na podręczu mają, a do takich klas należał widocznie pan Denon, lubo temu sam przeczył.

Nagle przyszła Wiktorowi myśl, że Paulina i jego przyjaciel piękną byliby parą.

Zaczął zważać baczniéj na ich rozmowę. On sam był, jak to się dość jawnie okazywało, niczém w dzisiejszém towarzystwie, i czuł się niebardzo zadowolonym z takiéj roli.

Coż za powód miała Paulina rozmawiać tak nieustannie z Denonem?

»Paulino!« zawołał Wiktor naraz.

»Wiktorze« — odpowiedziała zagadnięta — »jakże mię przestraszyłeś!«

»Czémże? Że do ciebie przemówiłem?«

»O, nie; ale twój głos. Cóż więc?«

»Nic. Chciałem tylko zapytać, czy mi wolno jest palić?«

»Proszę cię« — A potém zaczęła Paulina znowuż z nieznajomym gościem rozmawiać. Wiktor miał oboje na oku. Wreszcie szepnął Denon Paulinie coś do ucha, ona uśmiéchnęła się i zarumieniła, a zarazem wzrok jéj śpuścił się promieniem na Wiktora.

Oko Wiktora spotkało się z okiem kochanki.

Wpatrzył się w nią mocno przez chwilę; jednakże nie byłoto surowe, gniewne spojrzenie. Jaśniał w niém owszem tkliwy, miłosny zarzut, przebijała się trwożna wątpliwość, lecz Paulina żadnéj nie dała odpowiedzi. Uniknęła go szybko i wszczęła znów rozmowę z nieznajomym, ale już nie tak żywą, jak wprzódy. Czuła się widocznie rozstrojną. Spoglądała często na Wiktora, a wzrok jéj był niekiedy lękliwym.

»Już poźno, Denon« — rzekł Wiktor.

»Prawda, Wiktorze, pójdźmy.«

»Dobra noc, Paulino« — rzekł Wiktor, i nie spojrzawszy na nią, wyszedł. Ona też nie odpowiedziała mu wcale, gdyż chciała się okazać obrażoną jego podejrzliwością, chociaż sumienie jéj wyrzucało, iż ta podejrzliwość ma sprawiedliwą przyczynę.

»Nie powinien obchodzić się tak ze mną« — ozwała się sama do siebie — »Wszak nic nie uczyniłam.« Nie śmiała jednak rozważać daléj, lecz nucąc jakąś piosnkę, na spoczynek się położyła.

Mijały dnie, tygodnie. Małe pomieszkanie Pauliny przybrało wcale inny charakter. Nic się wprawdzie na pozór nie zmieniło, lecz w sercu Pauliny wrzały uczucia, o których przed ujrzeniem Denona, nic nie wiedziała. Była do pracy leniwą, zapadała często w długie dumania, i wzdrygała się, gdy daleki dzwon kościoła Nôtre-Dame, nadejście wieczora zapowiadał. Nie śpiéwała już. Niekiedy przemknęła się nuta piosnki przez usta, ale serce żadnego udziału w tém nie miało.

Dwie postacie walczyły teraz w jéj sercu. Po jednéj stronie stał Wiktor ze swoją otwartością, swoim szlachetnym umysłem, swoją stałością — zaiste piękny obraz! Jednakże nie ku niemuto Paulina najczęściéj spoglądać lubiła. Zwracała się owszem ku drugiemu obrazowi. Byłto obraz Denona z jego promienistémi oczyma, miłym głosem, wymową, która promiennémi barwami malowała kraje, jakich Paulina nigdy widzieć nie miała; z tajemniczym urokiem kreśliła jéj sceny z wyższych sfer życia, które Paulinie dotąd nieznane były. Wszystko to rozpłomieniało jéj wyobraźnię, a niebawem postrzegła, że uczucia, które Wiktorowi przynależały, ku nieznajomemu przyjacielowi się kłoniły. Paulina słysząc obu nadchodzących, najwięcéj na jego kroki zważała. Gdy Denon nie przyszedł, czuła się rozczarowaną, smutną, a to nie mogło ujść długo baczności Wiktora. Sam Denon był zagadką dla Pauliny. Nigdy on nie wyrzekł ani słowa, za które przyjaciel jego mógłby mu był wyrzuty czynić; nie starał się nigdy wcisnąć się w serce Pauliny, lecz w oczach jego bywał jakiś wyraz, który ona rozumieć mniemała; rysy jego powlekała jakaś surowość, któréj Paulina częstokroć się dziwiła.

Znowuż wieczór nadchodził. Paulina złożyła robotę z radością na bok, ubrała się, i przystawiła imbryk do ognia.

Miałaż trzy filiżanki przygotować? Natenczas mógłby Wiktor poznać, że oczekiwała nieznajomego. Nie,— ależ wtedy byłoby to może nieprzyjemnie Denonowi?

O, Paulino, spokojne sumienie nigdy nie wątpi, co ma uczynić! Zaczęła przyganiać w myślach Wiktorowi. Nie był on już tak skorym jak przedtém; przychodził o pół godziny późniéj niż dawniéj. Czyżto Alfonsa, czy Wiktora Paulina oczekiwała?

Uderzyła szósta godzina, a w téjże saméj chwili zabrzmiał dzwonek u drzwi i dały się słyszeć kroki. Twarz Pauliny wypogodziła się, gdy ucho więcéj niż jednę osobę na schodach zasłyszało. Wszedł Wiktor z przyjacielem. Paulina czuła się szczęśliwą, lub mniemała przynajmniéj być taką.

Wiktor zachował się przez cały wieczór posępnie i milcząco. Mówił z Pauliną uprzejmie, lecz tylko będąc wyraźnie do odpowiedzi wezwanym. Denon przeciwnie był w bardzo wesołém usposobieniu. Prawił o swoim blizkim wyjeździe, a ponieważ to dotykało nieznanéj dotąd Paulinie okoliczności, przeto nie mogła przytłumić lekkiego wykrzyku zadziwienia. Wiktor spoglądając jéj w twarz, postrzegł na niéj przelotny wyraz boleści. Westchnął więc. Chciał się spotkać z jéj wzrokiem. Ale jeszcze więcéj obawa niż zazdrość niepokojem go przejmowała. Silił się przemówić, lecz przemożony wnętrznem wzruszeniem, nie zdołał. Wstał więc spiesznie, i wyszedł z pokoiku

Paulina i Alfons zostali sami.

Była głęboka cisza.

Paulina czuła się niespokojną.

Alfons zdawał się być zdziwionym.

»*Mademoiselle*« rzekł nareszcie — »długo pragnąłem téj sposobności «

Paulinie serce gwałtownie uderzyło.

»Mogęż pani zaufać?«

»W każdym względzie« — odpowiedziała.

»Mam pani powierzyć tajemnicę, która na zawsze w sercu twojém ukrytą pozostać musi.«

Paulina spojrzała nań przelękniona.

»Ale cicho — Wiktor nadchodzi.«

Gdy kochanek powrócił, Alfons przychylał się jeszcze ku Paulinie, która ze spuszczonémi nadół oczyma, oświadczenia miłości oczekiwała.

Wiktor był nadzwyczajnie zmienionym. Wlepił wzrok dziki w oboje. Twarz jego powlokła się trupią bladością.

»Wiktorze« — rzekła Paulina— »Cóż ci to jest?«

»Nic, nic. Przyszedłem tylko aby ci powiedzieć dobra-noc. Czy pójdziesz ze mną, Denon?«

»Mamyż się już rozejść? Wszak jeszcze wcześnie.«

»Mam jeszcze zatrudnienie dziś w wieczór« — ozwał się Wiktor z gorzkim uśmiéchem. »Nie jestem tu potrzebnym.«

Powiedziano sobie szybko dobra-noc; poczém trójlistek nasz zimno się rozstał.

* * *

Ciemne fale Sekwany toczyły się poważnie ku dalekiemu morzu, osłoniwszy się mgłami nocy. Wysokie domy i nieregularnych kształtów budowy, rozpościérały długie cienie w poprzek łożyska rzéki, i tém ciemniejszéj barwy jéj nadawały. Gdzieniegdzie wybłyskiwało światełko z okna, i jak gwiazda w falach się odbijało; a niekiedy wypływający zpoza chmur księżyc rozwijał śrebrzysty smug po rzece. O, toni milcząca, jakież tajemnice mogłabyś nam wyjawić! Jakieżto głosy nieraz zamierały w twojéj głębinie! Co za ciche, samotne mieszkanie znalazł już niejeden w twojém łonie!

Noc była spokojna. Uderzenie dwunas éj godziny przebrzmiewało właśnie z wieży kościoła Matki-Bozkiéj, kołysząc się w ostatnich podźwiękach ponad uspionéni miastem. Zresztą wszystko milczało; zgiełkliwe tłumy udały się na spoczynek; a chociaż jeszcze tu i owdzie jakiś cień koło domu się przemknie; jużto prawie sami tylko żandarmowie o téj godzinie po mieście się snują.

Sekwana płynie przez wiele części stolicy. W niektórych miejscach sięga jéj łożysko krawędzi domów, które wysokim wałem ponad jéj wybrzeżem piętrzyć się zdają.

Nagle dał się słyszéć szelest śród ciszy nocnéj. Byłoto coś jakby krzyk przytłumiony.

W jednéj z ciemnych dotąd kamienic błysło na chwilę światełko. Ale oto już go nie widać. Można było jednak rozeznać stare okno bez ram, a w niém przy świetle księżycowém dwie postacie, pasujące się z sobą. Wnet jedna, wnet druga przemagała; naraz podnoszą się obie, pochylają znowu, jedna się przechybnęła...

Jeszcze raz ozwał się krzyk stłumiony; ciężkie brzemię runęło w rzekę; woda z głośnym pluskiem w górę trysnęła, — i już po wszystkiém! Czarne fale zamknęły się znowuż nad wirem; kręgi faliste ukołysały się, a wiejący ponad wodą wiatr, zatarł do reszty ślad nocnego wypadku!

Nazajutrz rano siedziała Paulina jak zazwyczaj przy pracy; lecz słońce jaśniało tak wesoło, że poczuła chętkę przejścia się w świéżém powietrzu. Wyszła więc rozmyślając nad wszystkiém co się stało i jeszcze zdarzyć się mogło. Niepokoiły ją jakieś przeczucia złowrogie, którego pozbyć się nie mogła. »Jestem pewną« — mówiła sama do siebie — »że coś złego się stanie!«

Wracała już do domu, gdy naraz niedaleko swego mieszkania, obejrzawszy się przypadkowie, obaczyła tłum ludzi idących zwolna za nią. Nieśli oni coś w podłużnym koszu, z którego po drodze woda kapała.

Paulina osłabła. Oczy jej nie mogły oderwać się od tego orszaku, który coraz tłumniej się zbliżał.

»Cóż to jest?« zapytała półgłosem.

»Nic szczególnego« — mruknął ktoś w tłumie.

»Ale powiedzcież mi przecie, co się stało?«

»Oto niosą trupa jakiegoś młodego człowieka, którego dziś rano w Sekwanie znaleziono.«

Biedną Paulina nie była w stanie odpowiedzieć. Oparła się o drzwi swego mieszkania i śmiertelnie pobladła. Gwałtowna trwoga zjęła jéj umysł, i niemając sił tyle, aby się bliżéj oświecić, padła zemdlona. Odźwierny był zawsze uprzejmym dla niéj, i kazał ją zaraz zanieść na górę. Gdy po niejakim czasie przyszła do siebie, pierwsze jéj spojrzenie padło na Wiktora, który się nad nią przechylił.

»Jesteś tutaj?« spytała.

»Jestem Paulino!«

«I sam?« ozwała się daléj, patrząc dziko wokoło.

»Sam« — powtórzył Wiktor ponuro.

Paulina odwróciła się ze zgrozą, i przymknęła powieki. Okropne podejrzenie weszło w jéj duszę.

»Gdzież Denon?« zapytała wreszcie, powstając i surowem okiem mierząc Wiktora.

»Gdzie? A gdybym nie chciał odpowiedzieć na to pytanie[?»

Paulina zamilkła. Wiktor zabrał głos w końcu.

»Jestżeś dość zdrową, Paulino, aby mię słuchać.? Muszę bowiem pomówić z tobą.«

«O nie, nie teraz« — odrzekła.

«I czemuż nie teraz?« przejął.

»Nie mogę ci tego powiedzieć, ale przyjdź jutro Wiktorze, a wszystko ci wyjawię.«

»Dla czegoż jutro?«

»Opuść mię teraz Wiktorze, proszę cię. Przyrzekam ci odpowiedzieć jutro na wszystkie zapytania.«

»Dobrze Paulino, idę. Jutro po raz ostatni się obaczymy«

I wyszedł.

»Zamordował go!« — zawołała. »Biedny Alfonsie! A jamto nieszczęsna temu winna!«

(Dokończenie nastąpi.)

## Wiadomości literackie.

**Ze Lwowa:** *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* (Własność i nakład **Piotra Pillera**) wyszedł nr. 46ty i zawiera: 1) Fermentacyja fermet. Najnowszy surogat fermentu. 2) O użyciu niektórych płodów na karmę. Ustęp z katechizmu rolniczego. 3) Sposób utrzymywania obfitych zbiorów. 4) Nowo wynaleziona maszyna do rzezania słomy i siana. 5) O uprzęży na woły. 6) Surrogat kartofli. 7) Rzecz o lasach dla właścicieli lasów i urzędników ich. (Ciąg dalszy). 8) Wiadomości handlowe i przemysłowe.

Przed kilką dniami wyszedł z druku tom trzeci Rozpraw c. k. galicyjskiego Towarzystwa gospodarskiego. We Lwowie, sprzedaje się w kancelaryi komitetu i w księgarniach Jana Milikowskiego. Drukiem Piotra. 1847. w 8vo; str. IV. 204. czyli 15 arkuszy ścisłego druku, i zawiera następujące rzeczy:

I. Protokół czynności piątego zgromadzenia, które się odprawiło we Lwowie d. 30 czerwca i 2 lipca 1847 r.
   a) Sprawozdanie komitetu od ostatniego posiedzenia styczniowego, przez Stanisława Przyłęckiego, sprawującego obowiązki sekretarza Towarzystwa.
   b) Wnioski Kazimiérza hr. Krasickiego o gospodarstwie wzorowém, o zastępcach członków komitetu i o wyborach nowych członków.
   c) Głos Ludwika Zaręby Skrzyńskiego.
   d) Wniosek Wincentego Pola, względem nabycia na własność Towarzystwa zbioru geologicznego Ludwika Zejznera.

II. O konieczności wywołującéj ograniczenie sadzenia ziemiaków — używanie takowych za podrzędny tylko środek pożywienia — i przysporzenia natomiast uprawy kukurudzy i strączkowych roślin. Odczytano na zgromadzeniu dnia 30. czerwca 1847 r. przez Augusta Kunzeka. Przełożył na język ojczysty Wincenty Pol.

III. Edwarda Dulskiego odpowiedź na pytanie: Jakie gatunki pługów są w różnych częściach kraju najbardziéj w używaniu, zwłaszcza między ludem? czém się od siebie różnią, i które pługi krajowe za najlepsze poczytywać można i do jakiego gruntu? Czytana na zgromadzeniu d. 30. czerwca 1847.

IV. Wiktora Obniskiego odpowiedź na pytania: Z ras bydła rogatego krajowego, która jest najmléczniejsza? i ile krowa krajowa na mleko najzdatniejsza, średnia lub zła, mléka w rocznem przecięciu daje, mając wzgląd na ilość i gatunek pożywienia? Czytana na zgromadzeniu dnia 2. lipca 1847.

V. Stosunek jałowcu i anyżu płaskiego na mleczność krów. Przez ks. Leona Trzeszczakowskiego.

VI. Wiktora Obniskiego odpowiedź na pytanie: Jakim przyczynom przypisać należy upadek pszczelnictwa krajowego? i jakie środki byłyby najstosowniejsze do podniesienia tegoż? Czytana na zgromadzeniu dnia 2 lipca 1847 r,

VII. Ks. Leona Trzeszczakowskiego obr. gr. kat. w Rudném, odpowiedź na toż pytanie.

VIII. Zdanie deputacyi Towarzystwa gospodarskiego o tegorocznym jarmarku na wełnę we Lwowie.

IX. Wymiar robocizny w Anglii, przez Maks. Oborskiego i Kazimierza hr. Krasickiego.

X. Wymiar roboty w gospodarstwie wiejskiém we Francyi, przez Kaź. hr. Krasickiego.

XI. Wymiar roboty gospodarskiéj w w. ks. Poznańskiém, przez tegoż.

XII. Józefa hr. Załuskiego Uwagi nad pierwszym tomem rozpraw Towarzystwa.

XIII. Krótki pogląd podróżującego Anglika na gospodarstwo w Prusiech i Holandyi. Przez Seweryna Smarzewskiego.

XIV. Kaliksta barona Horocha opis gospodarstwa w majętności Wrzawach, zastosowany do pytań zadanych przez Towarzystwo gospodarskie.

XV. Młocarnia p. Karola Nitscha w Czudem (z ryciną) wraz ze sprawozdaniem Ignacego Zaręby Skrzyńskiego.

XVI. Uwagi Haliczanina nad piérwszym tomem rozpraw Towarzystwa gospodarskiego, wraz z odpowiedzią Kazimiérza hr. Krasickiego.

MVII. Zadanie do nagrody za poprawienie pługa krajowego.

XVIII. Korespondencyje: 1) List od Dezydora Chłapowskiego z Tunoi, z dnia 6 sierpnia 1847. 2) List od Edwarda Kozickiego z Siekierzyniec, dnia 23 września 1847. 5) Wyciąg z listu Mikołaja Lipińskiego, profesora filozofii w Tarnowie, o żniwiarce Stanisława Wagury, z dnia 27 października 1847. 4) Wyciąg z listu z Londynu z dnia 26 październik 1847.

Nowy sposób uczenia w zakładzie głuchoniemych w Weronie. Zaprowadził go już przed laty dziesięciu były dyrektor tegoż zakładu Pravola, podług którego metody głuchoniemi w ten sposób mówić się uczyli, że najprzód mechaniczne poruszenia ust u mówiącego uważali, a potem naśladowaniem wyraźne mowncze głosy wydawać starali się; przeco powiedzieć można, iż wykształcony według tej metody głuchoniemy, mowę z ust wyczytuje. Zresztą nie zaniedbywał też *abbé* Pravolo dotychczasowego graficznego i symboliczno-mimicznego sposobu udzielania się; owszem uczniowie jego ćwiczyli się z kolei w jednej i drugiej metodzie. Ów system wargowy ma jednak to przed mimicznem pierwszeństwo, że według tamtego każdy zwyczajną mową głosową, z głuchoniemym rozmawiać może, gdy przeciwnie system mimiczny, tylko dla wtajemniczonych jest zrozumiałym. Wprawdzie utracił rzeczony zakład twórcę tej nowej metody *abbé* Pravolo już od lat kilku; atoli następca jego Maestrelli uczy wciąż według systemu wargowego, przeco zakład Weroński, jedynem w swoim rodzaju jest miejscem, gdzie głuchoniemi ludzie na wymówione do nich słowa, zrozumiałemi słowami odpowiadają. Co więcej, zdolniejsi uczniowie, bywają nawet na śpiewaków wykształcani, i jako tacy, niemałą chlubę zakładowi w Weronie czynią.

Niezrównany śpiewak leśny. W najgłębszem zacieniu lasów południowej Ameryki żyje samotnie cudowny śpiewak. Przechodzący wędrowca staje jakby czarem do miejsca przykuty, gdy dźwięki jego, nie dające się z niczem porównać, jak tylko z graniem drobnych dzwóneczków szklannych, w najrozmaitszych kadencyjach, z najdokładniejszem zachowaniem interwalów, zcicha powolną melodyją zpomiędzy gałęzi brzmieć zaczną. Jest coś niewymownie łagodnego, możnaby powiedzieć nadziemskiego w tej dzwónkowej muzyce, której urok wzmaga się jeszcze czarowniej głuchem milczeniem lasu i niewidomością małego śpiewaka. Nikt za nic w świecie, nie zabiłby go dostrzeżonego, zwłaszcza że skromne jego szare piórka, w pośrodku mnóstwa różnobarwistych, błyszczących tomagrów i certyjów, bynajmniej uwagi nań nie zwracają. Peruanie nazywają go organistą albo fletnistą, i twierdzą, że w klatce natychmiast zdecha. W Limie mówią o nim jako o jednym z najosobliwszych mieszkańców nieznanych lasów ku wschodowi, a dawniejsi opisywacze tamecznych krain, wspominają o nim z podziwem. Ptaszyna ta, znacznie mniejsza od wrobla naszego, nie znajduje się nigdzie indziej, jak tylko w lasach.

Fanatyzm męztwa. Kryziotis zostawszy w czasie bitwy kulą w lewą rękę ugodzonym, nie stracił bynajmniej przytomności. Owszem sam sobie śmiało, zgruchotaną rękę, do reszty szablą odciął, i w prawej ręce w górę ją wznosząc, zawołał: »Gdy serce zdrowe, na co mi chorej ręki! Każę sobie inną ze złota ulać. Naprzód przyjaciele!« — Później umoczył kiść odciętej ręki po dwakroć w kipiącej smole.

Koronacyja króla cygańskiego. W Jetholm-Common, w Irlandyi, odbyła się niedawno koronacyja nowego króla »brunatnych ludzi,« imieniem Karola Blythe. Obchodzono ją ze zwykłémi w Irlandyi przy takich okolicznościach obrzędami i uroczystościami. Najprzód odegrała muzyka »God save the queen,« a lud wołał: »Niech żyje Karol I!« Następnie przyprowadzono białego konia z długim ogonem. Nim go jednak nowy król dosiadł, przyszło mu spełnić różne ceremonije, jakoto: obejść konia dokoła, rzucić się 9 razy przed nim na ziemię, podnieść mu lewą nogę i t. p. Zarazem wychylono liczne toasty. Potém wyruszył cały orszak w pochód, pod naczelnictwem króla na koniu. Dwóch groomów wiodło konia za cugle. Za królem jechał jego giermek na ośle. Przybywszy do kamienia, zwanego »stobstone« zsiadł król i wylazł na kamień. Tam zawieszono mu na plecy skórkę ubitego przezeń zająca, której w ciągu całej uroczystości zdejmować nie wolno. Poczém usiadł na ziemi, a w braku oliwy, namaszczono go wódką. Tymczasem spijał tłum nieustanne zdrowia nowego króla, i wygłaszał mu grzmiące w języku cygańskim wiwaty. Śród śpiewów i okrzyków wrócił orszak koronacyjny od kamienia świętego nazad do miasta. W lichej gospodzie zastawiono sutą ucztę cygańską. Piérwszy kielich spełniony był znowuż »za zdrowie króla!« Poczém muzyka piosnkę »Bądź pozdrowion królu Karolu« zagrała. Nakoniec powstał król Karol i miał donośnym głosem długą mowę, której główną treścią było: »iż dołoży wszelkich starań, aby cały naród cygański o swoich dobrych chęciach przekonał; że będzie się opiekował szczęściem wszystkich poddanych, i każdego przy jego prawach ochraniał.« Zgromadzeni Cyganie przyjęli tę mowę długim jednogłośnym okrzykiem pochwalnym.

Słuszne pytanie. W paryzkim dzienniku *Corsaire-Satan* pyta pewien Saint-Symonista: »Dla czegoż w Europie, jeźli wszystkie gry hazardowe ustawami są zakazane; małżeństwo jest dozwolonem?«

Dorywcza instalacyja. Brukselski dziennik »*Independance*« opowiada następną anegdotę: „Temi dniami zjawił się w jednym z tutejszych gmachów ministeryjalnych pewien jegomość, który zdawał się szukać czegoś, nie będąc jednakże należycie z miejscowością obeznanym. Wtém nadchodzi jeden z domowników, którego nieznajomy spieszno o gabinet ministra pyta. „Ministra niema w domu“ — odpowiada zapytany. — „Być może“ — rzecze tamten — „ale gdzież jest gabinet?“ — „Mówię panu, nie ma nikogo w tej chwili, a więc....“ — „Za pozwoleniem.... Mylisz się wpan; ja nie o ministra, lecz o jego gabinet pytam!“ — „Rozumiem bardzo dobrze; ale w nieobecności ministra nie potrzebujesz pan wiedzieć, gdzie jest jego gabinet, ani też panu tego nie powiem.“ — „Czy pewnie?“ — „Nie inaczéj.“ — „Zdajesz mi się wpan być bardzo ścisłym.. a to pięknie... Ktoż wpan jesteś?“ — „Kto jestem?“ — powtórzył zagadniony, i dodał uroczyście: „Jestem odźwiernym ministerstwa.“ — „A ja, jestem ministrem. Czyż mi wpan pokażesz moj gabinet?“ — Zaszła była właśnie podówczas zmiana ministrów w Belgii.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.